



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych  
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr 3 kop. 60;  
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr 5. rocznie rsr 10

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta  
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-  
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1  
sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

Mieliśmy malutkie *intermezzo* zimowe w połowie Maja. Było ono tylko jednym kaprysem więcej naszej zmiennej aury i klimatu, w którym zdarzają się zimy bez śniegu, wiosny z mrozami, lato bez upałów a jesień z majową pogodą.

Od gospodarzy, przybyłych w odwiedziny doroczne do Warszawy, w tym czasie niewiele można się dowiedzieć: jak tam w polu?... Jak Bóg da; zanosilo się tam na coś, ale grady, chłody, zima, deszcze....

Tymczasem słońko znowu się rozgrzało i uśmiechnęło, jakby na pocieszenie, przerywając w połowie skargę wiecznie niezadowolonych z pogody wieśniaków.

To słońce nasze ma naturę kokietki....

Tradycyjalne deszcze w porze wycieczek w tym roku jakoś nie zepsuły sportomanom przyjemności i wrażeń, może dlatego, iż fatalność dała się stropić zmienionym terminem i przyspieszeniem pierwszej połowy kursów o kilka tygodni; mieliśmy bowiem wycieczki majowe, a czekają nas jeszcze czerwcowe, które przypadną gdzieś równocześnie z wystawą, koni i żywego inwentarza na Placu Ujazdowskim. Wystawa ta będzie krócej trwała, niż poprzednie, i chyba bardzo świetnie się nie przedstawi, prawie w przededniu wielkiej wystawy krajowej, jaką zapowiedziano na rok przyszły. Komitet stara się ją urozmaicić jaknajwięcej, aby zwabić publiczność, dla której same okazy przestały być skutecznym wabikiem i dla przeciętnego Warszawianina, każda krowa jest jednakową, a każdy koń ma takiesame cztery nogi i ogon, tylko dłuższy lub krótszy. Dziwić się przeto nie pójdzie na Plac Ujazdow-

ski, mało się znając a mniej jeszcze zajmując inwentarzem żywym, obchodzącym głównie hodowców i gospodarzy. Dla nich też wystawa najważniejszy przedstawia interes i najwięcej ma rozmaitości, dla zwyczajnego oka prawie niedostrzegalnej.

Zapowiadany tak szumnie popis kuchmistrzów naszych na miesiąc Czerwiec, nie przyjdzie do skutku; projekt wystawy kulinarnej, który się urodził na języku smakoszy, rozłakomionych samemi opisami podobnej expozyceji w Wiedniu, odłożono do przyszłego roku, a mianowicie do Stycznia. Czy do tego czasu apetyt i ochota nie odejdą najgorliwszym tej wystawy orędownikom—nie wiemy; szkody wielkiej wszelako nie poniesiemy, choćby nas nawet ominęła sposobność skosztowania wymyślnych sosów i frykasów restauracyjnych, o których z góry można być przekonanym, że będą smaczne, dobre i zdrowo przyrządzone dla reklamy okolicznościowej, ale nie dadzą rękoma, iż po wystawie taksamo smakować i z równą starannością przygotowywane będą do codziennego użytku śmiertelników, skazanych na stół restauracyjny.

Ostatnie rewizje komisji sanitarnej po kuchniach i traktierniach wykryły takie brzydkie tajemnice kuchenne i spiżarniane naszych zakładów jadłodajnych, iż na samo wspomnienie... nudno się robi „na wnątrzu“.

Mania wystawowa, jaka w tych czasach opanowała naszych projektowiczów, poddała komus tam amerykańską myśl urządzenia wystawy dzieci—i... pięknych kobiet. Do jednej i drugiej nie zabrakłoby ani interesujących okazów, ani ciekawych tłumów publiczności; wszelako dla samych estetycznych względów wartoż poświęcać moralne?... przypuszczamy też, że obie powyższe wiadomości wypłynęły z głowy jakiegoś reportera, któremu się w nocy przysniła Ameryka z Yankeesami.

Ale co w Ameryce, potrzebującej oryginalnych

wrażeń i sensacyjnej reklamy—uchodzi, u nas, wydałoby się dziwactwem.

Mamy jeszcze czas na takie oryginalności.

Pięknej kobiety i ładnego dziecka nie traktujemy dotąd jako dzieła sztuki, albo okazu ludzkiego inwentarza, ale jako istotę, która nietylko podziw, — lecz szacunek i miłość budzi w nas, a tego, co się kocha i szanuje—nie pospolituje się dla żadnej wrażeń gawiedzi, nie wystawia za pieniądze w publicznych gablotkach, choćby pod najbardziej uszlachetnionym pretekstem.

Jest w nas pewna drażliwość, która Bogu dzięki w tym względzie odróżnia nas od Yankesów.

Inna rzecz z projektem bardzo właściwym i w skutkach swych pożytecznym. Oto zamiast obu wspomnianych, dziwacznych wystaw podobno rozsądniejsze panie nasze, z pewnym lekarzem do spółki, zamierzają urządzać wystawę higieniczno-toaletową, na której zebranoby to wszystko, co dzisiaj, zalecane przez modę, zdrowiu i organizmowi kobiecemu szkodzi, albo względny tylko pożytek przynosi.

Takie wydobycie na jaw tajemnic gotowalni i garderoby damskiej, takie urządzenie publicznego regierza, pod którym znalazłoby się wszystkie owe artykuły zachwalane i za niezbędne dziś uważane przez łatwowieczne holdowniczki mody, takie zwłaszcza nauce przez uczonych higienistów wykazanie szkód i wpływów jej despotyzmu—miałoby prawdopodobnie skutek nader poważny oileby mu nie stanęły na zawadzie: upór i próżność kobieca.

Wszystkie owe gorsety, paski, podwiązki, korki, obcasy, kilkunastofuntowe ciężkie suknie, sztuczne kosmetyki, etc. etc., zebrane w jedną kolekcję, ugrupowane umiejętnie, objaśnione krytycznie przedstawilyby i objaśniły naszym paniom, jak wielkie ponoszą ofiary dla chwilowego efektu, jak na niekorzyść higieny holdują względnej bardzo estetyce.

Za taką wystawą głosujemy, a nawet prosimy,



aby ją urządzono, pomimo możliwej opozycji zagorzałych zwolenniczek mody, przenoszących talią osy nad zdrowie, prawidłowe funkcjonowanie organizmu i wszystkie inne względy, które wchodzą w rachubę poza sznurówką i stanikiem.

Nie łatwy to wszelako projekt do urzeczywistnienia, zwłaszcza w tym czasie, w którym, kto żyw, stara się uciec jak najszybciej z bruku miejskiego, aby odetchnąć świeżym powietrzem wiejskim. Powoli zaczęła się już coroczna migracja na początku sezonu kuracyjnego. Wycieczki do wód, do kąpeli na letnie mieszkania—rozluźnią wkrótce do reszty węzły towarzyskie. Lekarze nasi podpisują paszporty i marszruty swoim pacjentom i pacjentkom i wyprawiają ich w drogę.

Pomiędzy lekarzami, którzy w tem zajęciu najszlachetniejszą rolę odgrywają znajduje się dr. Gustaw Fritsche, starający się jak najwięcej wysłać z Warszawy kuracuszów, nie dla samych higienicznych, ale i dla filantropijnych względów. Od roku zeszłego bowiem jest on opiekunem i ordynikiem słabowitych dzieci, które za grosz publiczny spędzić mają kilka wakacyjnych tygodni na koloniach letnich, urządzonych przed dwoma laty staraniem i z inicjatywy dr. Stanisława Markiewicza.

Dr. Fritsche objął po koleźce swoim zadanie i trudy przeprowadzania tego projektu każdego lata, a rezultat tych starań w roku zeszłym — niech nas tu jeszcze na chwilę zajmie.

Z drukowanego w osobnej broszurce „Sprawozdania“ dowiadujemy się, że komitetowi utworzonemu przez Dr. Fritschego udało się na pięciu koloniach pomieścić 86 dzieci płci obojga, pomiędzy którymi znajdowało się pięćdziesięciu chłopców i trzydzieści sześć dziewcząt. Utrzymanie jednego dziecka w wieku pomiędzy 8-ma a 14-ma laty kosztowało rs. 18½ przecięciowo w ciągu miesiąca.

Dla siedemnastu starszych młodzieńców znalazło się pomieszczenie w domach prywatnych, a mogło się być znaleź i dla dwustu, gdyby wszystkie oferty zostały uwzględnione; trudno było wszelako bez dostatecznej rekomendacji wysłać do gościnnych domów z poleceniem kandydatów nieznanym, za których niezawsze można było przyjąć zupełną odpowiedzialność.

W Danii wszelako co rok około 7,000 młodzieńców spędza w ten sposób wakacje, korzystając z gościnności zamożniejszych obywateli wiejskich. U nas powinien—by ten zwyczaj bardziej jeszcze przyjąć się i rozszerzyć, zwłaszcza, że stare nasze tradycje gościnności i sympatyje dla młodzieży torują mu szeroką drogę.

W roku bieżącym dr. F. czyni dalsze starania około zebrania funduszów i urzędzenia letnich kolonii dla większej ilości małych, słabowitych biedaków, którym ten kilkotygodniowy pobyt na świeżym powietrzu ma przysporzyć zdrowia, sił, rumieńców i soków żywotnych. Jakże piękny, humanitarny i szlachetny czyn spełnia społeczeństwo, które w ten sposób czuwa nad zdrowiem swoich maluczkich obywateli i młodym sercom i umysłom sprawia rozkosz, o jakiej później przez całe życie pamiętać będą!

Poparcie tego dzieła należy do ojców i matek, umięjących odczuwać najlepiej ową naukę Chrystusową: opiekowania się maluczkimi. „Cokolwiek dla jednego z nich uczynicie—dla mnie uczyniliście!“

W „Sprawozdaniu“ swoim z urzędzenia kolonii letnich Dr Fritsche rozwija szeroko wszystkie moralne i fizyczne korzyści, jakie dzieci biednych rodziców odnoszą z tego dobrodziejstwa, a argumentuje tak przekonywająco, że się instynktownie sięga ręką do kieszeni, czytając jego broszurę, aby dorzucić do skarbony publicznej datek w tak uczynnym i użytecznym celu.

Pragnęlibyśmy rozbudzić za pośrednictwem znacznych matek ducha solidarności i ofiary również i w owym małym światku szczęśliwszych rówieśników ubogich dzieci, aby przyszła lista składek wykazała więcej nazwisk owych Józiołów i Antosiów, Mań i Róziček, które ze swoich oszczędności zrobiły ofiarę na rzecz kolonii letnich.

Dzieci pomagające dzieciom!...

Niechaj się przyszedli obywatele kraju uczyć od najmłodszych lat swoich obowiązków humanitarno-społecznych, niechaj uszlachetniają serca współczuciem dla niedoli bliźniego i wyrabiają w sobie piękną ambicją spełnienia dobrego uczynku.

Najmniejszy datek z tych drobnych rączek, będzie miał podwójną wartość, jako ziarnko dopełniające miarkę i jako objaw moralnego dojrzwania i rozwoju humanitarnych instynktów w tych małych ludziach.

Gdy wspominałyśmy o dzieciach, przychodzi nam na myśl sprawa bardzo blisko z niemi złączona, o której pisało się już niejednokrotnie: sprawa zabawek dziecięcych. Wykazy komory celnej udowodniły, że sprowadzamy do kraju rocznie zagranicznych zabawek za jakie 150.000 rs. Cyfra to w księgach gospodarstwa naszego nader znaczna; pieniądze wyprowadzone z kraju, przełane z własnej do cudzej kieszeni.

Wspominało się już tyle razy o potrzebie i pożytku założenia u nas fabryki zabawek; małe nieudolne próby, zazwyczaj z niewielkim kapitałem bez dostatecznych zasobów, kwestyi nie rozwiązywały, a nieszczęsne uprzedzenie nasze do wyrobów krajowych sprawiło, że szukając łatwiejszego zbytu, musiały się one podszyc pod firmę produktów zagranicznych. Ani kupcy bez obcej etykiety przyjmować, ani kupujący nabywać nie chcieli zabawek krajowych: działy się przeto nadużycia, wcale rozwojowi tego nowego przemysłu u nas na małą skalę niesprzyjające.

Obecnie chodzą pogłoski, że jacyś kapitaliści złożyli sumę 40,000 rs. i zamierzają wspólnymi siłami rozpocząć przedsiębiorstwo i założyć fabrykę zabawek w Warszawie, którą z konieczności poprowadzić muszą ręce obcych specjalistów, dopóki u nas nie wyrobą się równie uzdolnione siły miejscowe.

Spory grosz pozostałby w kraju, a co również ważne, dzieci nasze zaczęłyby może bawić się odpowiedniejszemi zabawkami na swojską modłę, z uwzględnieniem naszych pedagogicznych warunków i miejscowych właściwości, o które zagraniczni fabrykanci wcale dotąd nie dbali.

Byłoby bardzo pożądanem, aby pogłoska znowu z wiatrem się nie rozwiła, a w porze ogólnej stagnacji nowe, zyskowne przedsiębiorstwo ożywiło choć trochę apatyczny ruch przemysłowy.

## Z CYKLU POEZJI: „DUCH I ŚWIAT“

JAROSŁAWA WRCHLICKIEGO

przełożył z Czeskiego Miriam.

### NA PROGU RAJU.

U bram, w skalistej grocie, ciemnością zalanej,  
Od upadku złych duchów śpi szatan spętany,  
Słyszysz! przez grotę leci posępne westchnienie,  
Dziw, że nie drży ze zgrozy skaliste sklepienie.

Znów cicho. Księżyc świeci, lasy śpią wokoło,  
A szatan się przebudził i wzniosł twarde czoło;  
„Co za sen mnie brał w sieci? Kto zdjął mi kajdany  
I dał skrzydła, bym wzleciał w błękit nieprzejrzany?“

Kto wskrzesił gniew mój śpiący, uzbroił mą dłoń?  
„Kto rzekł mi: zerwij pęta, bądź bogiem, wznies  
[skroń?!

Śnie! czarodzieju! dalej! Idź, szukaj człowieka,  
Społem zerwiemy pęta! wolność na nas czeka!“

A człowiek? Szuka prawdy, pełen wrzących marzeń,  
Pada senny—skroń w pocie od nawału wrażeń;  
I usnął—lampa zgasa—o cudny sen, cudny!  
Oby spełnił się ludziom, nie znikł jak świt złudny!

Tu wszystko było prawdą, o czem śnił tajemnie,  
I zbudziwszy się nagle, zapatrzył się w ciemnie:

„Kto?—zawołał—tak zachwiał mem burzliwym  
[lonem?

Już wiem, ziemia nam rajem, niebo naszym tronem!

„Precz, stare, błędne baśnie—wstrętne więzy precz!  
Dziś ludzie braćmi będą, rzuca wojny miecz;  
Myślą wleczą nad przestrzeń, czas—skrzydłem  
[sokoła,

Tak, że stracą z ócz gwiazdy, jak orzeł—gór czoła!“

U bram nieba w purpurze stał Aryel, duch ziemi,  
Śnił dziwnie, skroń okrywszy skrzydłami białemi;  
Patrzył w śnie tym w człowieka i szatany duchy,  
Widział myśli ich płomien, stargane łańcuchy.

I z trwożą, zgrozą leci wnet przed tron Jehowy:  
„O Panie, chwyć za gromy! patrz, stargał okowy  
Swej nędzy człowiek hardy i wspólnie z szatanem  
Chce szturmem wziąć firmament, gardzi swoim  
[Panem!

O, powstań w gniewie swoim, bij, a niszc, a pal!  
Jak niegdyś do przepaści gronem swym ich zwał!  
Niech wiecznie trwa twa sława, on niech zginie  
[z pychą!“

Bóg słodko się uśmiecha i przemawia cicho:

„Choćby człowiek pochodnię buntu wzniosł w prze-  
[stworze,

I zerwał z niebios gwiazdy i poranne zorze,  
Choćby sięgały do mnie wszech sporów płomienie,  
A wojsko duchów moich zjęło przerażenie:

„Już po grom, błyskawicę nie ściągnę prawicy.  
Niechaj aż tu, przed tron mój, wleczą buntownicy!  
Ja naprzeciw nich wyjdę i w dziką walk burzę  
Raz tylko wzrok mój cichy, promienny zanurzę!

„To—spojrzenie miłości, jeden jego blask,  
Głębiej sięgnie, niż gromy, zleje w pierś zdroj łask,  
Odkupi biedną ludzkość, znów poświęci ziemię,  
I uściśnie się bratnio całe ludzkie plemie!“

Bóg domówił. Znów szatan wpadł w ciężkie ma-  
[rzenie;

Nad ziemią Aryel rozwił znów skrzydeł promienie,  
Człowiek pełen nadziei znowu badał stale,  
I gwiazdy znowu śniły, i znów grzmiały fale.

A Bóg płynął, jak w pierwszy dzień, nad przepa-  
[ściami,

I słońce darzył ciepłem, a glebę sokami,  
Aby wszystko mówiło, gwiazdy,—fale, kwiaty:  
„Miłością bóstwo trwa, miłością żyją światy!“

## KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Oprócz tego — dokończył Horpiński, że to jest zero w złoto poprawne.

— Misi nie potrzeba męża, któryby był cyfrą—dodała wdówka—ona sama jest nią; a zresztą, cóż mu zarzucić?—powtórzyła wdowa.

No — i zaraz po otrzymanym wianku grochowym — mocno podobno dotknięty, zwrócił się ku hrabiance M.... a starał o nią tak gorąco, na złość Misi, że w cztery tygodnie się zaręczył.



— Jest to wistocie doskonała nowina — odezwał się Sylwan — powinienem pani za nią podziękować. Obawiałem się dla panny Michaliny tego człowieka, który mógł ją uczynić nieszczęśliwą.

— Popraw się pan — wtrącała Bończyna — Nieszczęśliwą jej uczynić nie mógł, ale nie mógł uczynić szczęśliwą.

— Masz pani słusność. Nitosławskiego nie ma więc w Warszawie? — spytał Horpiński.

— Zaraz po zaręczynach wyjechał do Anglii.

Po tej pierwszej nowinie posypały się najrozmaitsze, których jednym uchem słuchając, Sylwan, roztargniony, drugim je wypuszczał. Nic go one nie obchodziły.

— Ten bałamut Emil przynajmniej trzy różne romanse rozpoczynał tej zimy — jak mi mówiono — kończyła Bończyna. — Nakoniec wyobraził sobie, że się we mnie kocha!

Sędzina pochyliła się ku córce, całując ją w czoło.

— Któżby ciebie nie kochał! — szepnęła.

— Pan mi nie radzisz holdów jego przyjmować? — dodała żartobliwie Bończyna.

— Zbyt wiele — byś pani miała z nim kłopotu, nim-by się ustatkował — rzekł Horpiński.

— No — ale każdego męża potrzeba sobie powoli urabiać — odezwała się Bończyna i westchnęła.

Horpiński się roześmiał.

— Wolno pani próbować — zakończył.

Rozmowa dosyć wesoła toczyła się przy herbach, a Sylwan dnia tego był daleko bardziej towarzyskim, łatwiejszym, mniej gorzkim, niż zwykle. Wdówka zalecała mu się potrosze, bo się jej dosyć podobał — ale mało miała nadziei, aby go mogła pociągnąć ku sobie. Nadto był poważnym dla niej.

Powróciwszy do Rusinowego Dworu, Sylwan wszedł do izby matczynej z tak wypogodzoną twarzą, iż ona sobie tego wytłumaczyć nie umiała. Żartował z Pynką, wdał się w rozprawę z Tatianą, z parobkami — dziwnie był odżywiony.

Wszystko to mimo jego wiedzy płynęło z jednej tej wiadomości, że Nitosławski się usunął, a panna Michalina była wolną.

Sam sobie potem wyrzucał marzycielstwo próżne i dziecinne — lecz oprzeć się wrażeń nie mógł.

Matka znowu mu wspomniała, że może-by wrócił do Warszawy, aby nie zrywać stosunków, i tym razem Sylwan przyjął jej radę — przyzwalając milczeniem.

— Tak — rzekł — wypadnie mi może pojechać. Zasiadziałem się zbyt długo. Dzień jeden przebywszy z matką, siadł na konia.

W salonie Zawierskich, gdzie już o wyjeździe na wieś mówić zaczynano, ciszej było niż w ciągu zimy, gości wielu ubyło. Panna Michalina wyglądała napróżno tego przyjaciela — za którym tęskniła. Usposobienie, z jakim wyjechał, trwożyło ją; nie miała o nim żadnej wiadomości — smutek ją ogarniał, którego przyczyny nikt odgadnąć nie umiał.

Matka bardzo była niespokojna.

Wtem jednego wieczora — gdy się go najmniej spodziewano — wszedł Horpiński.

Szczęściem, że oprócz domowych nie było nikogo, bo panna się zdradziła ze swą przyjaźnią dla Sylwana nadzwyczaj żywo, wesoło wybiegłszy naprzeciw niemu.

Patrzącej na to matce — rumieniec oblał twarz na chwilę.

Horpiński witał wszystkich z równą uprzejmością serdeczną.

— Wyjechałeś pan od nas tak podrażniony jakis — smutny, żem się o pana obawiała — odezwała się panna Michalina — i żebyś też dał znak życia! Wszak to wieki upłynęły?

— Mnie się szczególnież czas ten wydał długim — rzekł Sylwan.

— Gdzież pan byłeś? — spytała matka.

— Na wsi — krótko odparł Horpiński.

Wchodzący kapitan Lurski, a za nim parę osób,

gości powszednich — przerwali poufalszą rozmowę.

Ożywienie i wesołość panny Michaliny, z którą się wcale nie tała — nie uszły oczów ciekawych. Lurski szczególnież, spostrzegłszy to — zaraz wyciągnął wniosek, że powrót Horpińskiego, mógł bardzo piękną pannę ożywić.

Złośliwy pasożyt — oddawna posądzając Misię o słabostkę dla — niemiłego sobie p. Sylwana.

Lurski nie krył się ze wstrętem do tego człowieka, którego wyższości nie mógł zaprzeczyć. Nawykły poufalić się z arystokracją, wciskać się wszędzie, być przyjmowanym wszędzie, bo się jego języka i złośliwości obawiano — nie cierpiał Horpińskiego, niedającego się nadto zbliżyć do siebie — niezapraszającego na obiady i podwieczorki — surowego, poważnego, a mającego na wszelki wypadek dosyć dowcipu, aby się obronić napaści.

Szkodzić mu było trudno — lecz ile razy mógł jaką przyjąć łaskę kapitan — czynił to z prawdziwą przyjemnością.

Nazajutrz, obiecywał to sobie — miał po mieście roznieść spostrzeżenie uczynione — iż pomiędzy tajemniczym Horpińskim a panną Zawierską mógł być związek romansu.

— Człowiek ostro kuty — niezmiernie zręczny, prowadzi powoli — ale się można obawiać, że nam sličną i bogatą pannę pochwyti. Nitosławskiego odprawiła z kwitkiem!

Nie uszło i to jego bacności, że jak tylko więcej osób zapełniło salon, panna Michalina korzystając z tego, aby się zbliżyć do Horpińskiego i długą z nim począć rozmowę.

Wieczór dla nich obojga upłynął w błogiem zapomnieniu się — i tak żywych rozprawach o tyśiącu różnych nieznaczących przedmiotach — że ani się spostrzegli, gdy goście się porochozdzili, a Sylwan musiał wreszcie, razem z Lurskim, który dotrwał do końca — opuścić przedpokój.

Kapitan rozstał się z nim w progu, ceremonialnie i zimno. Horpiński go niecierpliwiał — zdawało mu się, że go lekceważył — i odwodził się — chęcią szkodenia mu.

Szło tylko o to, jak miał przystąpić do dzieła. Lurskiemu nie brakło na wprawie; o tych, których nie znosił, mówił z przekąsem, złośliwie; podkopywał ich powoli, a że miał dowcipu wiele, ta robota krecia zawsze jakiś skutek wywierała.

Następującego dnia spotkali się na śniadaniu z hrabią Antonim.

— Cóż, kochany hrabio — rzekł Lurski, śmiejąc się — swaty się wam nie udały!

Ruszył ramionami.

— Nigdybym się nie spodziewał po Zawierskich takiego braku taktu... i gustu — mówił dalej. — Odepchnąć Nitosławskiego... a tak serdecznie przyjmować... pana Horpińskiego!...

I śmiać się zaczął po swojemu, trzęsąc brzuskiem, głową i rękami coś ukazując.

Usłyszawszy nazwisko to, hrabia Antoni nadstawił uszów.

— Przecież Horpińskiego stosunki w tym domu — przerwał hrabia — są bez... konsekwencji.

— No — jabym za to nie ręczył, ani przysięgi — mówił kapitan. — Zawierska matką słabą jest dla córki, a panna Michalina ma fantazje i muszki w nosie. To zaś rzecz pewna, iż tam u niej nikt lepiej położonym nie jest, nad p. Sylwana.

W czasie choroby babuni, gdy kasztelanowa nikogo nie przyjmowała z obcych, dla niego uczyniono wyjątek. Do pracowni panny nikt nie wchodzi — jemu wolno.

Hrabia Antoni słuchał z uwagą; przychodziło mu na myśl zwierzenie Nitosławskiego. W gruncie duszy człowiek dobry był, ale słaby. Miał żal, że jego protegowanego odepchnięto — a sądził, że Zawierskie należało przestrzedz o Horpińskim. Z drugiej strony — nie mając żadnej pewności, tylko domysły: czy się godziło wystąpić z niemi, mogąc zaszkodzić człowiekowi niewinnemu?

Hrabia Antoni postanowił to wziąć na rozważę — i skończywszy rozmowę z Lurskim, odszedł do domu, mocno zamysłony.

Tu, sam z sobą, rozważywszy wszystko — skończył na tem, że — obowiązkiem było przestrzedz *sub rosa* Zawierską — nie zaręczając jej, żeby domysł Nitosławskiego miał być ugruntowany — ale dając go za to, za co go wziął.

— Gdy idzie o los córki i rodziny — powiedział sobie — ostrożność, zbytnia nawet, nie jest od rzeczy. Wszyscy przewidują, że Horpiński się gotów ożenić: niech wiedzą za kogo wydadzą.

Hrabia Antoni nie miał w sercu najmniejszej niechęci ku Horpińskiemu; człowiek był mu raczej sympatycznym, niż wstrętliwym — lubił jego rozmowę — ale był zarazem arystokratą — i połączenie rodziny dobrze położonej w złotej księdze z człowiekiem wątpliwego pochodzenia — zdawało mu się wypadkiem, któremu każdy, według sił, powinien był się starać zapobiedz.

Wybrał się z myślą ostrzeżenia do Zawierskiej, nie na wieczór, ale rano. Trafiło się, że nie zastał tu nikogo; panna Michalina była w swojej pracowni. Wiele czasu upłynęło na preludjach.

— Nie mam najmniejszego żalu do pani dobrodziejki — odezwał się hrabia, że mojego protegowanego nie przyjęliście, — chociaż trudno dziś w kraju o lepszą partya.

— Kochany hrabio — ja Misi nigdy nie chcę gwałtu zadawać — chodzi o całe jej życie. Ona stanowić musi — odpowiedziała Zawierska. — Oddajemy sprawiedliwość panu Waclawowi — ale... ale sercu, nie podobna nakazać.

— Droga pani moja — przerwał hrabia Antoni — proszę mi wierzyć, że żalu nie mam... trwożę się tylko.

Tu przerwał sobie nagle.

— O co? — zapytała Zawierska.

Namyślał się nieco hrabia.

— Ludzie mówią, że w wielkich łaskach u państwa jest Horpiński...

— A! — roześmiała się matka — ale to nie jest pretendent, to przyjaciel domu.

Hrabia zrobił minę dziwną i przysunął się do gospodyni.

— Na wszelki wypadek — rzekł głos zniżając — muszę panią wtajemniczyć w to, co mi wyznał Nitosławski — czuję, że to jest obowiązkiem mojej przyjaźni dla jej domu.

Wszyscy my uważaliśmy niesłychane podobieństwo rysów pomiędzy p. Waclawem a Horpińskim. Otóż Nitosławski powiada, że z papierów po ojcu doszedł, iż zamłodu była tam jakaś awanturka z prostą ukraińską dziewczyną; inni mówią, że nawet małżeństwo później zerwane. Prawdopodobnie Horpiński jest....

Zawierska aż się z krzesła rzuciła.

— Hrabio!.. to nie może być!

— Ja nie twierdzę, żeby tak było — mówię czego się na mocy papierów domyśla Nitosławski, bo i on nie wie nic stanowczego — mówił hrabia — chciałem jednak, abys pani to wiedziała.

Rzecz nabiera więcej prawdopodobieństwa zważywszy, że Horpiński dla wszystkich jest zagadką, że jego pochodzenia nikt nie zna, że spytany, wykreca się odpowiedziami, które nic nie mówią.

Słuchała, zadumana smutnie, pani Zawierska.

— Dziękuję ci, kochany hrabio, za życzliwość z jaką mi tę wiadomość byłeś łaskaw udzielić — rzekła po chwili. — Co do Horpińskiego, oileśny go poznać mogli, zawsze z najlepszej strony się nam pokazywał. Lubiny go wszyscy; nie chce mi się wierzyć, aby miał być tak nieszczęśliwym!

Wychowanie, wyposażenie — zdaje się zatem mówić, iż nie może być biednym takim sierotką.

Powiadasz, że to jest domysł Nitosławskiego — mnie się zdaje, że się myli. Podobieństwo rysów nic a nic nie dowodzi. Przypomnij sobie, hrabio, Angielkę miss Crowd, która była tak podobną do panny... Pławskiej, że się mylono na balach.

Hrabia zamilkł na moment.

— Ja się wcale nie upieram przy tem, ażeby Waclaw miał słusność: mógł się omylić — ale dziwnie wiele okoliczności mówi za jego domysłem.



— Gdyby tak być miało — przerwała Zawierska smutnie — według mojego przekonania obowiązkiem było p. Wacława szukać z tym bratem znajomości, zbliżyć się do niego — istarać się mu być użytecznym.

Hrabia, zapewne niezupełnie podzielając gospodyni przekonanie — nie odpowiedział na to — i zamiast dalszej rozmowy, począł prosić, aby jego zwierzenie się zachowała w jaknajwiększej tajemnicy. Pośpieszył dodać, że on sam wysoce cenil Horpińskiego, że urodzenie mu nie odejmowało wielkich zalet — lecz zawsze — należało, ściślejże zawierając stosunki, znać tych, których się na poufalszej stopie wpuszczało do domu.

Zawierska musiała podziękować i zapewniła, że tajemnicy dochowa.

Hrabia wyszedł zaraz i lżej odetchnął; zdawało mu się, że świętego dopełnił obowiązku. Z czystym sumieniem pociągnął dalej i zapomniał wkrótce nawet o tem, co dokonał nierozważnie.

Pani Zawierska, dobra, czuła matka, w nieustannym żyjącą niepokojem o córkę i jej los — rozdrażniona nerwowo, z trudnością mogła w sobie utrzymać tajemnicę, która ją poruszyła i zaniepokoiła.

Córcie nie myślała jej zwierzyć, ale tegoż dnia, przysiadłszy w łóżku babuni, wyszeptala jej wszystko, co przyniósł hrabia Antoni.

Wspomnienia babci z dawnych czasów, jej znajomości ludzi i obyczajów — dla staruszki historią Horpińskiego czyniły całkiem prawdopodobną. Nie wierzyła jej Zawierska: ona, przeciwnie, domysł znajdowała bardzo trafny. O starym Nitosławskim słyszała dawniej wiele i wyobrażenie, jakie o nim miała — godziło się z postępowaniem, które mu przypisywano. Człowiek znany z charakteru szlachetnego, czując obowiązek, mógł bardzo starać się biednemu sierocie życie zapewnić znośne i zatrzeć nieszczęśliwe pochodzenie.

— To wszystko bardzo być może — mówiła staruszka — ale ze strony p. Wacława znajduję to wcale niewłaściwym, że takie domysły, nie mając pewności żadnej, rozgłasza — wiedząc, iż one komuś szkodzić mogą.

Bądź pewna, moja droga — dokończyła — że jeśli nieboszyk chciał ukryć swój błąd i ślad pochodzenia tego dziecka, swego, uczynił to tak, iż nikt nie potrafi odsłonić, co on tajemnicą okrył. Horpiński musi mieć papiery swe, szlachectwo i wszystko w porządku.

Dwie panie długo o tem rozmawiały, postanowiwszy Misi wcale nie mówić — o niczem.

— Nie powinniśmy wiedzieć o tem — dodała babka. — Co nas to obchodzi? Horpiński przecie nie myśli starać się o Misię.

Obie zamilkły.

— Misią go bardzo lubi — ale się w nim nie kocha — dokończyła staruszka.

Niebezpieczeństwa niema.

— Muszą się go ludzie jednak domyślać — rzekła Zawierska, — kiedy nas aż ostrzegają!

Zawierskie nazajutrz wyjechać miały; wszyscy znajomi złożyli im już pożegnalne wizyty. Jednego tylko Horpińskiego — rozstając się z nim, panna Michalina prosiła, aby przyszedł raz jeszcze.

— Któż wie? — rzekła — może będę miała jaką prośbę, a nawykłam pana uważać za mojego plenipotentę.

Mieszkanie tych pań znajdowało się w takim stanie, że gości w nim przyjmować nie było podobna.

Służba okrywała meble, zdejmowała firanki, ustawiała sprzęty do spoczynku; zamykano szafy, obliczano srebra; gromadzono rozpięzchłe porcelany. W pokojach pań i w przyległych ogromne tłumoki stały otworem, pochłaniając wszystkie przybory, bez których na wsi obejść się nie było podobna.

Misia, ubrana jak na ranek, biegła wyręczając matkę — rozsyłając pomocnice, znosząc swe malarskie pudełka i paczki, bo na wsi malowała z największym zapalem.

Wśród tego zajęcia ujrzał ją nadchodzący Sylwan.

— A! — zawołała, rzucając się na kanapkę — jakże to dobrze, że pan przyszedłeś... będę miała sposobność wytchnąć na chwilę, bo biegnąc od rana, niezmiernie jestem zmęczona.

Mówią, że Amerykanie (ale to chyba nie Amerykanki?) — wcale z sobą tych węzełków i rupieci mnogich, jak my, w drogę nie zabierają. Było-by to do naśladowania... Co to za nudna rzecz: pakowanie i rozpakowywanie!

— Nie mógłbym pomóc? — zapytał Horpiński.

— Nikt w świecie nie pomaga — odparła Misią — wszyscy przeszkadzają...

Siadaj pan — mówmy o czeminnem, a ja odechnę... Pan także wyjeżdżasz... na wieś?

Horpiński rzekł cicho:

— Zapewne gdzieś polować będę i...

— Rysować? — dodała Misią.

— Nie wiem — mówił Sylwan — polowanie nie wymaga usposobienia... rysunek przeciwnie. — Są dni, w których ani oczy, ani ręka, ani umysł rysować nie umie.

— Ja się naówczas zmuszam — zaśmiała się panna Michalina.

— Udaje się to pani?

— Niezawsze... ale potrzeba nawykać do takiego okiełznania siebie.

— Oile ono możliwe — rzekł Horpiński. Młócić można zawsze — ale ani poezyi pisać, ani malować zawsze nie podobna.

Po chwili spojrzala panna Michalina na gościa swojego.

— Jeździsz pan w lecie wszędzie — rzekła — dla czego-bys do nas nie przyjechał? Pruszczyc postara się o polowanie, a ja o album i ołówki...

Są u nas takie stare dęby — że się same proszą do studyów.

Horpiński milczał z głową spuszczoną.

— Na wymówkę moję mógłbym to powiedzieć tylko — odezwał się pomyślawszy, — że ludzie i tak mi zazdroszczą dobrego przyjęcia u państwa i moich częstych odwiedzin: cóżby to było, gdybym ośmielił się na wieś pojechać!

— A panu to szkodzi, że ludzie się bawią, rozpowiadając sobie różne rzeczy?

(Dalszy ciąg nastąpi).

## ROMANTYZM WE FRANCYI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Luźowski.

(Dalszy ciąg — Ob. Nr 8).

### X. Henryk Beyle (Stendhal).

Henryk Beyle (Stendhal) napisał tylko ze dwadzieścia książek, ale treść ich tak jest niezwykłą, że stawia autora na równi z Balzac'em. Do Balzaca zostaje on w takim stosunku, jak myśliciel w sztuce, do jasnowidzącego. Kreacyom Balzaca patrzymy w serce, bo wypłynęły z namiętności i serca autora; kreacye Beyle'a wypłynęły z jego głowy. Do W. Hugo zostaje Beyle w takim stosunku, jak Leonard da Vinci do Michała Anioła. Hugo tworzy przez plastyczną swoją fantazją ludzkość, z Beylego wydelikaczonej inteligencji wysuwa się mały szereg postaci męzkich i kobiecych, które swoim głębokim i zagadkowym wyrazem i swoim pociągającym, słodkim a nawet zbrodnictwym, uśmiechem, działają na nas magicznie. Tak, jak Hugo zbliża się do stylu przemawiającego w Mojżeszu Michała Anioła, tak Beyle'a

Księżna Sanseverina (z Chartreuse de Parme), pokrewną jest z Leonarda Moną Lisą. Beyle jest ideologiem pomiędzy francuzkimi pisarzami swego czasu, tak jak Leonardo ideologiem pomiędzy wielkimi malarzami Odrodzenia.

W walce podjazdowej przeciw szowinizmowi francuzkich klasyków spotykamy już dawniej Beyle'a jako wodza. I nikt też większej kleski nie zadał literaturze Cesarstwa, niż on, który osobiście wielbił Napoleona i Cesarstwo. Przebywszy wszystkie batalie napoleońskie, stoi on w swych pismach na napoleońskim gruncie. On jeden rozmawiał z Napoleonem, a żył z Byronem. Duchowym też motorem jego życia był zwycięzki pochód i upadek Napoleona. Urodził się w 1783 r. w Grenobli, z rodziny wyższej mieszczańskiej. Matkę utracił mając lat 8, ojciec obchodził się z dziećmi szorstko, tak szorstko, że od najwcześniejszych lat wyrodziła się między synem a ojcem nienawiść. W chłopcu tym, w którym głęboka oryginalność i energiczna samodzielność stanowiły podstawę charakteru, tyrania ojca ciężąca teraz nad jego wychowaniem, wyrodziła dzikie niemal oburzenie. Uczący go księży, przerażeni niedawną rewolucją, chcieli zeń zrobić royalistę i katolika gorliwego: chłopak na przekór stał się bonapartystą i wolnomyslicielem.

Nieustanna przytem walka z ojcem wytworzyła w nim podejrzliwość, której się już nigdy nie pozbył, a do tego dołączyła się obawa, iżby się sam nie mylił. Skutkiem dwóch tych przyczyn przyzwyczaił się do nieustannej kontroli nad samym sobą. W charakterze już prowincyi, w której ród jego od wieków mieszkał, leżała właściwość znana uporu — tego, co milczy, i chęci zemsty, — tej, która zaczekać umie na sposobność, a przytem krew włoska płynęła w nim po matce... Kiedy się narzeczcie dostał do publicznej szkoły, szczęśliwy z tej swobody, poczuł zawód, gdyż zamiast serdecznych kolegów, znalazł bandę samolubów. Później, w napoleońskich batalionach, miał sposobność nabierać więcej przykładów zwierzęcego samolubstwa, a z tych spostrzeżeń urobił swego Fabrycyusza w *La Chartreuse de Parme*. Zawód jego tkwił w tem, że i w kolegach szkolnych i w wojskowych, entuzjastycznie wyobraził sobie uczucie koleżeństwa. W r. 1799, nazajutrz po 18 Brumaire'a, przybył, ukończywszy studia, do Paryża. Miał polecenie do Piotra Daru, generała-sekretarza ministra wojny, który go też w swym biurze umieścił. Zaznaczona ta chwila w przyjaźni Juliana do hr. de la Mole, w słynnej powieści *Rouge et Noir*. Beyle w panu Daru znalazł czulego, światłego i wysoko pod literackim względem ukształconego protektora. Daru wraz z swym bratem otrzymali rozkaz połączenia się z wojskiem we Włoszech; 17-to letni Beyle, przy swoim poetycznym i energicznym temperamencie, marzący tylko o wielkich czynach, wielbiący nadto pierwszego Konsula, posłuchał ich wezwania i konno przejechał przez górę św. Bernarda, w dwa dni po Napoleonie. Teraz poznał przyjemności życia zatrzymawszy się w Medyolanie, mieście, które w zakresie jego późniejszych pojęć i pomysłów literackich, tak wielką gra rolę. Jako ochotnik bił się pod Marengo. Przebywszy kilka miesięcy w intendenturze, wstąpił do pułku dragonów jako wachmistrz, pod Romanego został porucznikiem a potem adjutantem przy generale Michaud. W dalszych bitwach, szczególnie pod Castelfranco, odznaczył się odwagą i gorliwością w spełnieniu danych sobie poleceń. Uczucia jego pod Marengo znajdujemy w uczuciach Fabrycyusza podczas bitwy pod Waterloo. Mistrzowski opis bitwy zawdzięczamy temu, że ją autor sam przeżył jako świadek. Epoka ta, od przejścia przez Alpy aż do występu Beyle'a z wojska, po zawartym pokoju w Amiens, była epoką szczęścia, wielu barwnych i romantycznych wrażeń, zachwałych czynów, miłostek, pojedynków, poezyi biwakowej w pięknym kraju, w którym zwycięzcy witani byli przez lud, jako oswoobodziciele i bohaterowie. Gdy młody zapaleniec powrócił ztamtąd do domu rodzinnego, gdzie wszyscy czuli cześć dla tych idei i ludzi, któremi on pogardzał, musiał przejść niejedną przykrą scenę, zanim otrzymał pozwolenie zamieszkania w Pa-



ryzu. Tu zaczął spokojnie i rozważnie kształcić się. Po krótkim epizodzie wycieczki awanturycznej do Marsylii, powrócił, znowu towarzysząc Napoleonowi pod Jena i przy wjeździe do Berlina. Mianowany intendentem w cesarskich dobrach w Brunświku, poduczył się języka niemieckiego, a przytem gorliwością swą i odwagą zjednał sobie szacunek. Przy konferencyach małżeńskich Napoleona o Maryję Ludwikę był i on użyty i zyskał wstęp do dworu. Zabawiwszy znów czas dłuższy w Medyolanie, otrzymał pozwolenie w 1812 r. wzięcia udziału w Kampanii Rossyjskiej. Wojna, pomimo straszliwych doświadczeń, jakie już poczynił, pociągała go zawsze; studjuje on przytem charakter rasowy ludów, składających armię przechodzącą przez Niemien. Przyszły pisarz nadzwyczaj wiele poczynił tu obserwacji, atoli w Smoleńsku miał już całej kampanii dosyć. Wiecznie gra w nim podwojna natura! Pragnie ciągle mieć materiał do odżywiania wyobraźni, a przytem pragnie i czynów. Podczas pożaru Moskwy pisze: — „Ogień zbliżał się szybko do domu, któryśmy opuścili... poszedłem, ażeby się przypatrzeć ogniovi i zostałem z godziną u Joinville'a... wypiliśmy butelkę wina i pokrzepili się przez to. Czytałem też jakiś czas w angielskim przekładzie *Fawla i Wirginii*, co wśród powszechnego zdziwienia, dało mi znowu trochę duchowego życia“. Podczas straszliwego odwrotu został mianowany generalnym magazynierem Mińska, Witebska i Mohilewa; zdobył zaś sobie szczególnie zasługę pod Orszą, gdyż tu dostarczył żywności dla wojska na trzy dni, a była to jedyna żywność, którą armia między Moskwą a Berezyną otrzymała. Zimna krew i stanowczość nie opuszczały go i tu. W jednym z najstraszniejszych dni pochodu zameldował się u swego szefa Daru stanniem wygolony i ubrany, na co mu ten rzekł: „Jesteś dzielnym, panie Beyle; i dziś nie zapomniawsz się ogolić“. Zdarzenie to stało się słynnym swego czasu. Stracił w tym pochodzie konie swe, powóz, pieniądze, bagaże. W r. 1813 idzie za swym Cesarzem do Moguncyi, Erfurtu, Lützen, Drezna, zostaje szefem intendentury na Szlązku; potem ratuje nadwątłone zdrowie nad jeziorem Como, wreszcie szczęśliwa miłość uwieńcza jego odpoczynek.

Po upadku Napoleona stracił wszystko: urząd swój, karierę i stanowisko społeczne; zniósł to wesolo i stał się odtąd kosmopolitą, miłośnikiem sztuki, dyltantem i pisarzem.

Od 1814 do 1821 roku żył w swoim ulubionym Medyolanie. Namiętnie miłujący muzykę włoską, przepędzał wieczory w La Scala, a w najdystyngowańszych towarzystwach zapoznał się z poetami i znakomitościami Włoch: z Silvio Pellico, Manzoni i innymi, oraz z przejeżdżającymi: Byronem i panią de Staël, W. Schleglem i innymi. Zpośród życia szczęśliwego wyrwała go policja austriacka, posądzając go o karbonaryzm. Zrozpaczony rozłączeniem z ukochaną kobietą, powrócił do Paryża. Pod tem wrażeniem zaczął pisać słynną swą książkę: *De l'Amour*. Czuł się samotnym w Paryżu; część przyjaciół rząd rozpedził, reszta, ukorzywszy się przed nowym porządkiem, wzbudziła jego pogardę. U filozofa de Tracy, który był mu przyjacielem, poznał Lafayette'a, Ségura, Benjamin Constant, a u śpiewaczki Pasty, Méri-mée'go i innych. Od r. 1830 aż do śmierci był znowu urzędnikiem, gdyż został konsulem w Civita-Vecchia. Tu żył pod niebem, które zawsze kochał; wśród ulubionego narodu nudził się jednak nieczynnością. Tęsknił za Paryżem, pomimo, że od ustępstwa Ludwika Filipa w Kwestyi Wschodniej w r. 1840, nie uważał się już za Francuza. Umarł nagle na apoplexyę.

Beyle'a odróżnia od francuzkich romantyków ta okoliczność, że pochodzi on w prostej linii z XVIII wieku, od racjonalnej i sensualistycznej filozofii, tak, że w jego duszy nigdy nie znalazła się ani iskierka religijnych tradycji; jest on też stanowczym przeciwnikiem wszechwładnego, co w wielkim romantycznym ruchu nazywało się reakcją przeciw duchowi XVIII wieku. Nigdy nie wpłynęli na niego: Châteaubriand i p. de Staël, ani Chénier, Hugo lub Lamartine. Brakło mu zmysłu dla metryki, nie był lirycznym ani patetycznym; wzorami jego nie byli romantycy krajowi. Pozo-

stał on nazawsze wiernym ogólnie potępianym Condillacowi i Helwecyzusowi, był i umarł jako namiętny ateusz. Jako moralista i człek prywatny, był skończonym epikurejczykiem. Za jedyną motywą czynów uważał egoizm, nawet za sprężynę bohaterstwa. Onotliwymi czynami są według niego przykre dla wykonywającego je, ale użyteczne dla innych.

Był nawskróś psychologiem. Jest to pierwszy z tych pisarzy, dla których historia, jako nauka, jest tylko psychologiczną zagadką. Ale nauka o człowieku była dla Beyle'a, na mocy jego filozofii szczęścia, nauką o szczęściu. Około szczęścia obracały się wszystkie jego myśli. Pod charakterem rozumiał sposób, który się u kogoś stał zwyczajem w wyszukiwaniu szczęścia, i dlatego przekładał Włochów nad inne rasy, bo mu się zdawali najspodobniejszymi do pochwylenia szczęścia. Jako pierwszy warunek szczęścia postawił, iżby każdy tylko na siebie liczył: „Nie ufaj nikomu“ powtarza często w swych pismach, wierzył tylko temu, co sam widział, nie podziwiał tego, co ci nie sprawia przyjemności, i bądź pewny, że twój bliźni ma korzyść z kłamstwa! Jego wieczny wyrzut przeciw Francuzom jest ten, że są zbyt próżni, ażeby rozumieli przyjemność, czyli że wszelkich wyższych przyjemności nie pojmują. Francuz—według niego—nie śmie sam sobie zadać pytania: czy jest szczęśliwy? a obawa tego, co inni o nim powiedzą, jest uczuciem panującym we Francyi. Sam Beyle, przeciwnie, nie kontentując się wielką swą oryginalnością, lękał się być podobnym do drugich, co spowodowało nawet w nim dziwactwo i affektacyę. On, który wielbił naiwność, otwartość i szczerłość, ciągle był zajęty czuwaniem nad sobą. Obowiązki, które miał spełniać, spełniał na przekorę innym, albo tak, jakżeby się mścił za jaką obrazę. Zawsze starał się uczynić inaczej, aniżeli by się to bliźniemu podobać mogło. W tej wiecznej opozycji przeciw „filistrom“ tkwi właśnie rys romantyczny; niemniej romantyzmem jest, że człowiek ten, głoszący naturalność, całe życie namiętnie się maskował i innych mistyfikował, kryjąc osobiste swe doświadczenia poza piramidami omówień.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w Maju 1884 r.

Miasto nasze żwawo się krząta około przygotowań na blizki już zjazd przyrodników; chodzi o to, aby się nie sprzeniewierzyć tradycyi Piastowskiej gościnności, którą od zamierzchłych czasów dzielnicą naszą słynęła. Czem więc chętnie liczyliśmy, dalekich a miłych gości. Komitet już urządził kwatery po domach prywatnych, miasto suty bał wydać zamierzając, wszystko zaś obiecuje bardzo znaczny udział w spodziewanym zjeździe, oraz wysokie ożywienie obrad. Zapowiedzianych mamy już osmdziesiąt odczytów, które w pojedynczych sekcjach wygłoszonymi zostaną. Pałac hr. Działyńskich raz więcej otwarty swe sale na urządzenie małej wystawy medyczo-farmaceutycznej.

Wycieczka w okolice Poznania, historycznie ciekawa, zamknie szereg uroczystości święcących zjazd polskich przyrodników w grodzie Przemysławów. Zamierzano przyłączyć do rzeczonoego zjazdu obchód 50-letniego jubileuszu lekarskiego Dra Szokalskiego; gdy jednak tenże wymówił się przed wszelkich hołdów i owacy, wypadnie ograniczyć wyraz ogólnej czci i poważania na wezwaniu go do przewodniczenia obradom i sesyom. Wszystkie wybitne osobistości naszego miasta i prowincyi gorąco biorą do serca całą sprawę spodziewanego zjazdu i gorliwych dokładają starań, aby mu zapewnić powodzenie.

Lekarze innych dzielnic z zajęciem zwiedzają tutejsze szpitale, odznaczające się wzorowem

urządzeniem, porządkiem i zastosowaniem do nowych higienicznych przepisów i wymagań. Obok olbrzymiego szpitala miejskiego, tudzież głównego zakładu Sióstr Miłosierdzia, rozwija się stopniowo i rozszerza Benjamin naszych dzieł dobroczynnych, ten szpitalik dziecięcy, o skromnych przed kilkoma laty rozmiarach, który usiłuje doścignąć swych warszawskich i krakowskich spółzawodników, pod kierunkiem siostry Ireny Łuszczewskiej i przy pomocy pełnego poświęcenia Dra Osowickiego. Jakkolwiek nasz szpitalik teraz dopiero dochodzi do liczby pięćdziesięciu łóżek, niemniej rachunki całoroczne zadziwiają mnogością małych pacyentów, którzy tu szukali ulgi i zdrowia. W zakładzie leczono 359 dzieci, w poliklinice, znajdującej się obok szpitalika, udzielono rady i pomocy 3,256 chorym. Mimo skromnych początków szpitalika, rokować mu można świetną przyszłość: tak ogólna i rzewna sympatya całej naszej społeczności otacza nowe dzieło; sypią się hojne datki, mnożą środki pomocy, a jakkolwiek bywa cel ogólny dobroczynnych przedstawień, koncertów czy odczytów, jakkolwiek gwiazda literacka czy artystyczna na naszym widnokręgu zabłyśnie z jałmużną swego talentu czy słowa, zawsze pewna dziesięcina odlicza się dla tych maluczkich, rozpoczynających przedwcześnie cierpkie doświadczenia ludzkich przeznaczeń.

Teatr poznański pusił się już na swe letnie wędrówki, opuszczając miasto, dla którego stał się w ciągu ubiegłej zimy rzetelną i szlachetną rozrywką. Artystyczne kierownictwo p. Józefa Rychtera nadało całkiem podnioslejsze znaczenie naszej scenie, tak doborem sztuk, jak i starannem ich wykonaniem. Grono artystów poznańskich dało podczas świeżo zamkniętego sezonu zimowego sto pięć przedstawień, z których 23 przypada na utwory Alexandra Fredry ojca, a 21 na poczet nowych komedyi — Bałuckiego, którego „Dom otwarty“, tudzież „Gęsi i gąski“, niebywało doczekały się tu powodzenia. Duszą repertoaru był do końca sam dyrektor, pan Józef Rychter. Na 105 sztuk osobiście 49 razy sam występował z właściwym sobie talentem, a znakomitem pojęciem staropolskich mianowicie charakterów i ról. W „Zemście“, w „Jowialskim“, w „Dożywociu“, Rychter pozostanie niedorównanym, choć przyznać trzeba, że i Moliere ma w nim wybornego tłumacza. a i Shylock bywa z niego niepospolity. Niestety! choć umieliśmy ocenić, nie potrafilismy zatrzymać między sobą znakomitego artysty. Zrażony miejscowymi trudnościami, złożył dyrektoryę sceny poznańskiej i opuścił miasto nasze. Ubytek podobnych sił i utrata takiego kierownika złowrogo zaciężyć może na przyszłości naszego teatru, który drugiego Rychtera nie znajdzie ani rychło, ani też łatwo.

Przeciągająca się choroba prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie zawiesiła czynności uczonego grona, które nie przerywa swych posiedzeń, zasepionych nieobecnością przewodniczącego.

Jubileusz Kochanowskiego nie mógł przejść niepostrzeżony w mieście, którego on był „proboszczem“. Tytuł ten proboszcza poznańskiego nieodłącznym jest od nazwiska czarnoleskiego poety. Umyślono tedy ze składek publicznych postawić w pobliżu katedry pomnik, zdobny w popiersie wieszczka, a opatrzony w stosowne napisy, wśród których błysnie pierwsza zwrotka pieśni: *Kto się w opiekę*. Nie stać nas na szpizowe posągi i marmurowe kolumny, ale szybkością postanowienia i wykonania, przy jednomyślności daru i zamiaru, zawstydzimy komitety Mickiewiczowskie, których działalność dotąd na radach i projektach się ogranicza.

Zpośród odczytów, które świeżo urozmaiciły posiedzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, na umyślną wzmiankę zasługuje szersza rozprawa Dra Łebskiego „O wojach i rycerzach w Polsce“. Prelegent wykazał, iż rycerstwo, z którego powstała szlachta, nie było pierwszą formą obrony krajowej. W najdawniejszych czasach istniał osobny stan wojenny, tak zwany *Woje*, których ryszunek składał się z młota, topora, dzidy, łuku i szczytu. Ci woje siedzieli na pańskich łanach, w zależności od swego księcia, o tyle, że na



każde jego skinienie, śpieszyć musieli pod znaki. Dopiero od XI wieku przybyli z Czech pierwsi rycerze, którzy, niebawem wyrósłszy w stan potężny i możny, zepchnęli dawnych wojów na plan drugi, pieszej czerni i zagonowej szlachty. Ale i ci pierwotni rycerze, taksamo, jak dawniejsi od nich woje, zrazu byli kmieciami tylko i dopiero ukształcili się w stan arystokratyczny i możnowładcy dzięki hojności królów, wynagradzających czyny waleczne. Ciekawą ta rozprawa, przeplatana wielu nieznanymi szczegółami i dowodami, powszechny obudziła interes. Na innym posiedzeniu ks. prałat Likowski ciągnął dalej urywki swych prac o Kościele Wschodnim.

Rokowania między Stolicą Apostolską a Rządem Berlińskim, w których nazwisko uczonego prałata wciąż wciąga jako imię ewentualnego zastępcy i następcy kardynała Ledóchowskiego, nie odrywa go od pilnych i badawczych studyów. Owszem, jakby w przeczuciu, że może wypadnie mu niebawem do czynnego i trudnego, acz dostojnego, zawodu być powołanym, mnoży on i uzupełnia swe prace historyczne, ogólne jednając sobie dla nich uznanie. Zpośród nazwisk wymienianych obecnie kandydatów na stolicę arcybiskupią, imię ks. Likowskiego najwięcej u nas budzi zaufania i szczerego zadowolenia choć nader boleśnie cała nasza dzielnica odczuwa rozłączenie z kardynałem Ledóchowskim, który przez ośmnaście lat rządów pasterskich żył się już z nami. Węzły rozrywane za życia, i przez konieczność życia, jeszcze niemal więcej kosztują łez i bólu serdecznego, aniżeli te, które śmierć targa nieubłagana. Nie brakło nam wszakże i tych ostatnich wciąż najbliższych tygodni. Zniknęło znów zpośród nas kilka postaci wybitnych a charakterystycznych i poważnych; wymienimy najpierw znanego miłośnika starożytności-klassycznej, tłumacza wielu arcydzieł literatury greckiej, prof. Antoniego Bronikowskiego. Cichemu pracownikowi obywatelstwo nasze postanowiło wnieść ze składek dobrowolnych a chętnych pomnik grobowy. Prussy Zachodnie straciły swego nestora, patriarchę i przewodźcę w pracy, w służbie publicznej, w życiu społecznym, sędziwego p. Donimirskiego z Buchwałdu. Nareszcie zgasł na odległym włoskiem wybrzeżu s. p. Konstanty Zakrzewski, który wciąż długich dni swoich pasma miał się naprzemian pluga, oreża i pióra, nierazkim w naszych stosunkach przykładem. W literackiej po nim spuściźnie wiersz: *Do bociana* obiegł kraj cały, a również i inne utwory doczekały się szerokiego poklasku. Skromny poeta zostawić miał w tece wiele niedrukowanych pieśni, które zapewne synowska miłość wydobędzie z ukrycia.

Odkąd zbrakło wśród nas Jana Konstantego Żupańskiego, zmniejszył się znacznie ruch książkowy. Choć księgarni powstało znów kilka, brak jednakże przedsiębiorczego wydawcy uderza na każdym kroku. Żupański co parę miesięcy darzył nas jakim dziełem ważnym a poważnym; teraz zaledwie lotne i ulotne publikacje pojawiają się w dziedzinie nowości literackich. Wspomnijmy przekłady poetyczne hr. Wawrzyńca Benselstjerna-Engelströma p. t.: *Ze szwedzkiej niwy*, zapoznające nas z utworami trzech wieszczów północy: Wallina, Franzena i Stagneliusa. Tłumacz istotną ma zasługę w tem zbliżaniu wzajemnym szwedzkiej swej i polskiej ojczyzny, jakby na pamiątkę dawnych stosunków obu krain, dziś zbyt mało wiedzących o sobie i literaturze własnej. Przekłady jego rymowane uderzają łatwością i gładkością wiersza, piękny język i poważna forma cechują tłumaczenia dokonane prozą.

Nadzwyczaj słotna i zimna wiosna przyniosła nowe obawy rolnikom. W wielu miejscach, dla nadmiaru wilgoci, wcale dotąd nie zasiano jarzyn, rychło posadzone ziemniaki na nizinach—wygniły. Zbliżający się termin Ś-to-Jański zapowiada znów mnogie subhastacje i sprzedaże konieczne. Z tych jednak największa liczba dotąd przypada na rzecz niemieckich właścicieli, którzy tak zwanem przegospodarowaniem dochodzą nierzadko do ostatecznej ruiny. Nie zabraknie wszelako nowych „kulturträgerów“, aby zastąpić tych, których powodzenie zawiodło. Ale i polscy kapitaliści z innych dzielnic zaczynają

cisnąć się do Księstwa, zwabieni kwitnącym stanem tutejszego rolnictwa.

Po długich processach i zawikłaniach, generała Dąbrowskiego majątność dotacją Napoleońską zawarowana, Winnogóra, przeszła na własność córki jego p. Boguliny z Dąbrowskich Mańkowskiej. Niedawno ogłoszone pamiętniki p. Mańkowskiej powszechnie tu wzbudziły zajęcie.

Zasłużony i czynny profesor Szafarkiewicz wydał świeżo dwie książki, przeznaczone dla domowego kobiecego gospodarstwa, których nie można dość zalecić paniom naszym. Rozszerzając zwykły zakres czynności niewieściej, autor w pierwszej części wyjaśnia pojęcia o kredycie dłużnika, o przychodzie i rozchodzie, co w dzisiejszych stosunkach bywa — konieczną nauką. Niedostatek bowiem dotychczasowego w tych kwestjach wykształcenia kobiecego nieraz już przyczynił się do ruiny całych rodzin. Dalej następują litografowane schemata rozchodu, dochodu, zapisek codziennych lub miesięcznych, słowem: praktyczne wskazówki dla wprowadzenia ładu i składu w dom i gospodarstwo, co jest tem ważniejsze, iż niedarmo mówi stare przysłowie, jako żona trzy węgły domu stanowi. Za porządkiem domowym idzie i dostatek, i harmonia życia, i równowaga stosunków, a każdy, co przykłada rękę do utorowania w tej mierze dróg właściwych, moralnie i materialnie walną krajowi oddaje usługę.

## KOBIETA W CHINACH

(Według Czeng-Ki-Tonga, członka ambasady chińskiej w Paryżu).

W Europie przedstawiają sobie ogólnie kobietę chińską jako słabą, zdrobniałą, niedołązną istotę, zaledwie mogącą się poruszać na malutkich nóżkach i ztąd zamkniętą w domu pomiędzy służbą domu męzowskiego. Otóż członek ambasady chińskiej w Paryżu, pułkownik Czeng-Ki-Tong, zbija to twierdzenie, jako fałsz powstały w bujnej wyobraźni podróżników, i w ostatnim numerze *Revue des deux mondes*, w artykule: „Chiny i Chińczycy“, poświęca jeden rozdział kobiecie swego narodu. Kobieta chińska — pisze tam — chodzi tak dobrze, jak on sam i każdy z jego europejskich czytelników; biega nawet wybornie na rzeczywiście małych nóżkach, spaceruje lub wyjeżdża z domu, nie używając bynajmniej zasłony, którą obyczajem innych kobiet wschodu chroniła ją przed ciekawymi spojrzeniami przechodniów. — Co za ciekawą — dla Chińczyków — książkę możnaby ułożyć z bajek o Chinach, które krążą po Europie! woła pułkownik Czeng i dodaje, że przeciwieństwem z błędów, który go najwięcej dotyka i dla sprostonowania którego wziął głównie pióro do ręki, jest to, że w opisach podróżników kobieta chińska przedstawia postać śmieszna, bez żadnego wpływu na otoczenie swoje i żyjącą na to tylko, aby rodziły się dzieci. Że tak nie jest, dowodzi już samo to oburzenie autora, zaznaczającego w inny, wyższy, szlachetniejszy sposób moralne i rodzinne stanowisko kobiety chińskiej, która, choć różni się pod wielu względami od kobiety Zachodu, jednak według przekonania pułkownika Czenga, nie jest wcale od niej niższą i niżej cenioną. Rola, którą tradycje chińskie wyznaczają kobiecie wśród społeczeństwa, da się wyłożyć przez allegoryę: w języku chińskim słońce jest rodzaju męzkiego, a księżyc żeńskiego, bo słońce jest siłą pierwiastkową, czynną, siłą roznoszącą życie, mocną i ognistą, gdy księżyc, który od słońca blaski bierze, jest światłem łagodnym i miłym, jak rozlewający się wśród życia ludzkości urok i wdzięk kobiecy. Czeng czyni tu uwagę, że we wszystkich językach, które zna, prócz niemieckiego jedynie, słońce jest męzkiego, księżyc żeńskiego rodzaju, i każe w tem widzieć wskazówkę naturalnego kształtowania się pojęć, dodając, że wyjątek, który przedstawia niemieczka, jest ciekawym i nastreczyłby uczynom Niebieskiego

Państwa przedmiot do studyów obyczajowych: zali Niemki rządzą krajem, a Niemcy przygotowują odzież dzieci swoich? Czeng nie wie zapewne o tym zbiegu okoliczności, że w Europie właśnie jeden z myślicieli niemieckich, Jan Paweł Rychter, dopatrywał się związku między duchowym pierwiastkiem męczyzny ze słońcem, a kobiety z księżycem, i na tej zasadzie przeznaczył duszom męzkim na pośmiertne przebywanie słońce, duszom kobiecym księżyc.

Coby podług tej metody chińskiej trzeba przypuszczać o nas, gdzie słońce jest rodzaju nijakiego, a księżyc męzkiego?

W Chinach rodzina ma wielkie znaczenie, jest to podstawa na której spoczywa budowa społeczeństwa, które w Chinach znaczy tyle: co zbiór wielu rodzin, i Konfucyusz jeszcze powiedział, że sztuki rządzenia krajem trzeba się uczyć przez sztukę rządzenia w rodzinie. Rodzina chińska jest oparta na zasadzie równości i braterstwa; obowiązkiem każdego z jej członków jest harmonijne przykładanie się do jej powodzenia i dobrobytu; że zaś męczyzna i kobieta, jako członki rodziny, mają do spełniania specjalnie i różne od siebie obowiązki, wytwarza się zatem i system wychowania różny dla płci każdej. Męczyzna ma się uczyć tego, co w ciągu życia potrzebnem mu będzie do sprawowania urzędów swego kraju; nauka kobiety odnosi się musi do jej przyszłych obowiązków w rodzinie. W rozdziale: *małżeństwo* pułkownik Czeng pisze, że w Chinach stara panna, stary kawaler należą do rzędu zjawisk szczególnych: więc Chiny są w porządku, myśląc w zakresie edukacji kobiecej przeważnie o rodzinnych jej obowiązkach. Nie utrzymując tego bynajmniej, aby kobieta była umysłowo niższą od męczyzny, aby nie była zdolną do nauk i umiejętności, przypadających na dział edukacji męzkiej, nie kształca jej w tym kierunku jedynie ze względu na przyszły jej zawód w życiu. Kobieta chińska nie ma żadnej poza-rodzinnej, pozadomowej działalności, ale gdy raz wkroczy w ten wewnętrzny przybytek istnienia ludzkiego, gdy przestąpisz próg chińskiego domu, spostrzeżesz natychmiast, że to jej państwo, w którym króluje, rządzi z władzą nieposiadaną przez Europejki.

Kobieta chińska ma w związku małżeńskim przyznane sobie prawnie stanowisko wiele wyższe, od Francuzki naprzykład, i nie jest tak, jak ona, podległą mężowi. Kobieta europejska, wychodząc z małżeństwem, staje się jakoby małoletnią, mąż ma przyznane sobie nad nią prawa takiej opieki, że jest bezwłasnowolną i nie może rozporządzać nawet mieniem własnym, co zadziwiłoby niezmiernie Chinki, których położenie w małżeństwie jest zupełnie różne. Mężatka chińska może zastępować męża we wszystkich aktach władzy zewnętrznej. Prawo przyznaje jej moc przedawania i kupowania, zaciągania długów na majątek wspólny, zawierania umów handlowych, żenienia dzieci i wyznaczania im posagów, jakie jej się dać im podoba. Jednym słowem: jest ona najzupełniej wolną i posiada w zakresie życia rodzinnego doskonałą równość prawa z męczyzną.

Pułkownik Czeng dodaje przeciwieństwo, że życie i obyczaje chińskie najpierw uzdalniają do takiej działalności kobietę przez to, że cały zasób jej inteligencji zwrócony jest w kierunku interesów rodziny; powtórę obyczaje nie dają jej możności skierowania się chęcią w inną stronę, urządzania sobie życia i jego przyjemności poza obrębem rodziny. Lecz za to i dla tego jest ona w tej rodzinie panią i rządczynią: ona kieruje w zupełności wychowaniem dzieci, jest duszą domu ożywczą, nie wychodząc przytem nigdy poza kres kobiecości. Ale też pole, które jej w tym zakresie otwartem zostało, nie jest bynajmniej ciasnym: jest, przeciwnie dość szerokim, aby ambicya, rwąca się nawet wysoko, zadowolenie znaleźć mogło. Godności męża spadają w Chinach na żonę w takim stosunku, że jak w Europie kobieta za pośrednictwem małżeństwa z królem otrzymuje przywilej korony i gronostajowego płaszcza — tak Chinka z powodu dostojności męzowskiego ma prawo do pewnego szaczonego stroju, który jest jakgdyby oznaką jej stanowiska w społeczeństwie. Rzecz to przeciwieństwo drobniejszego znaczenia; stokroć głębiej, rozumniej,



sprawiedliwiej pomyslanem jest to, że matkę w podobny sposób chwala synowska odziewa i jest jak gdy wdzięcznością narodową, nagrodą przez ojczyznę udzielaną jej za tego syna, którego chowała, w którego serce wszczepiała cnotę, przed którego myśl młodą stawiała za cel podniosłe ku górnym szlakom dążenie. Pułkownik Czeng to wychowanie macierzyńskie w narodzie swoim za taki ideał rodzinnego i społecznego dobra uważa, że pisze: „Nous ne serons jamais assez civilisés pour concevoir une éducation plus parfaite“.

Czeng dodaje, że ta wychowawcza władza matki nad dzieckiem, nad synem, którego według modły ojczyznę tradycy, ojczyznę pojęcia cnoty na służbę ojczyzny urabia „jest siłą“, która dźwiga kobietę nawet w okrutnym przypadku nieszczęśliwego z mężem pożycia, i dodaje, że znaczy ona w życiu Chinki więcej nawet, niż ta wolność majątkowa, której przy domowym ognisku używa; że przez to naród jego uczynił z kobiety istotę, która ma zawsze przed sobą świecącą jej blask nadziei, zrobił z niej „un être esérant toujours“. Tę to nadzieję — szczęścia i zaszczętów w przyszłości — przeciwstawiać może boleściom, oblegającym ją, gdy mąż czyni ją nieszczęśliwą.

„Zdobywa się na cierpliwość, aby dzieci mogły ją kiedyś wynagrodzić i pomścić niejako za wzgardę męża“ — dodaje autor, i stawia to jako przyczynę rzadkich rozwodów, jakkolwiek prawo chińskie dozwala ich i nie utrudnia zbytecznie. Są one uważane przez społeczeństwo chińskie za potrzebne: za to złe konieczne, bez którego obejść nie można w razach zła jeszcze gorszego. Ale opinia publiczna oświadcza się przeciw rozwodowi, który 253 lat przed erą chrześcijańską istniał już w Chinach; prawo wszakże dopuszcza go głównie tylko w dwóch wypadkach: w razie niewierności żony, — i w razie, gdy nie ma dzieci. W pierwszym wypadku mąż obrażony ma moc zabić nawet wiarołomną, więc rozwód już sam przez się dokonany zostaje, choć dziś już owe prawo życia i śmierci nad żoną niewierną, przyznane mężowi o wiele wcześniej przed wprowadzeniem rozwodów, wykonywane bywa tylko pod wpływem gwałtownego namiętności umiesienia, co i bez prawnego pozwolenia działo się i dziać będzie zawsze, gdy boleść zbyt ciężka rozum miesza i dziki poryw zemsty z serca ludzkiego wydobywa. W drugim wypadku nietylko opinia publiczna, szczególnie w klasach wyższych, podnosi się przeciw takiemu rozdziałowi małżeństwa. Bywa on też bardzo rzadki, bo w Chinach, zdaniem pułkownika Czeng, mało jest związków, których nie łączyłyby miłość. — Na szczęście — pisze to Chińczyk — kobieta nie dziedziczy nic, kobieta nie dostaje żadnego posagu; nie widnieje on w perspektywie zawierającego się małżeństwa, mężczyzna nie staje się przedajnym — ta, która ma być matką jego rodziny, kochanką i przyjaciółką jego życia, nie dostaje mu się w dodatku do swoich pieniędzy i nie ma tego handlu najświętszymi uczuciami, którego Chińczyk, nieprzynależący do podobnych rzeczy przez codziennych wydarzeń, zrozumieć nie może. — „Próżno chciałem nieraz wytłumaczyć moim współziomkom — dodaje Czeng — co to jest małżeństwo dla majątku; rzecz przedstawiała im się w rodzaju jakiejś wspólki, umowy handlowej — nie pojmowali mnie zgoła“. To też małżeństwo, zawarte na podstawie wzajemnego uczucia — małżeństwo, które skojarzył pociąg dwóch serc, nie rozchodzi się łatwo. W razie bezdzietności przybiera się dzieci z postronnej rodziny i pozostaje się razem do śmierci. Nie jest to może pełnia szczęścia, ale jest go tyle, że serce ani samotnem, ani smutnem być nie potrzebuje.

Oprócz tych dwóch głównych punktów rozwojowych jest jeszcze trzeci: nieuszanowanie rodziców, czy żony, czy męża. Gdzie synowa nie umie się stać córką, lub zięć synem, — tam małżeństwo ma prawo się rozjechać, bo nad ich związkiem zaciążyło niebłogosławieństwo Nieba.

Uszanowanie rodziców, cześć dla pamięci przodków, spójność rodziny, jest w Chinach tak wielką, jak była w starożytnym Rzymie, i Czeng widzi w tym podstawę siły i bytu państwa.

Szkic jego nie wydaje Francji dobrego pod tym względem świadectwa i patrząc na związki małżeńskie w tym kraju, pisze: — „On est ici si peu uni par le mariage!..“ Lęka się też dla rodziny francuzkiej nowego prawa o rozwodach: — „Je crains fort qu'il n'emporte par sa foudre ce qu'il reste de bon dans le mariage“, wyznaje Francuzom szczerze i zwraca uwagę, że ceremoniał uroczystych zaślubin zniknął prawie z obyczajów Zachodu, czego nie uważa za rzecz dobrą. Ledwo że na wsi u ludu prostego obchodzą jeszcze wesela, którego, według jego spostrzeżeń, nie ma już w klasach wyższych. W Paryżu małżeństwo cywilne zawiera się jak wszelki akt urzędowy; błogosławieństwo duchowne, ślub u ołtarza załatwia się pośpiesznie: orszak weselny wychodzi coprościej z kościoła, wraca do domu, państwo młodzi zmieniają suknie i siadają do wagonu. „A jednak szkoda, że tak jest, pisze Chińczyk — jest we mnie ta naiwność, że wierzę we wpływ uroczystych ceremonii: nakazują one uszanowanie dla aktu, który się dokonywa. Mimo woli czuje się wtedy wielkość tego czegoś, co określić ci się nie daje, ale istnieje niemniej. Ceremoniał daje uczucie, że spełnia się jakaś rzecz tajemnicza i uczucie to podnosi nas nad różne małości nasze. Im mniej uroczystym jest charakter ceremonii, tem mniej ważną wydaje się sama istota czynu, z którym się łączy, i dziś nie otacza też tutaj małżeństwo urok żaden“.

Ten barbarzyńcze Wschodu myśli jednak i czuje głęboko i jeżeli nie unosi go patriotyczny optymizm, to ta skośnych oczu Chinka, która nam się wydaje tak brzydka i śmieszna, ze swoją wiecznie jedną i modom nieulegającą suknią luźną, ze swemi szpilkami w nieestetycznie ułożonych warkoczach, jest nietylko szczęśliwszą i więcej uszczęśliwiającą, ale jest silniej, lepiej, głębiej kochaną i szacowaną niż owa wdzięczna, owa powabna, prawa elegancyi i dobrego tonu dyktująca światu, Paryżanka. Trzeba też wierzyć słowom Czeng-Ki-Tonga, że mimo ograniczenia jej głównie do rodzinnego stanowiska, nie jest ona przez mężczyznę w dół zepchniętą i nie tworzy w narodzie swoim niższego chóru życia. Czytelnicy naszego pisma pamiętajcie może, iż w obrazkowym alfabecie chińskim wyraz „małżeństwo“ przedstawiony jest przez parę wołów razem w jedno jarzmo wprzagniętych i razem ciągnących pług. — Pług to jest pracy, orzący grunt życia pod zasiew rodzinnego i narodowego bytu: otóż nie poniża się, nie lekceważy nigdy kobiety tam, gdzie ją mężczyzna do równości pracy, do podziału obowiązków, więc do równości zasługi i godności moralnej przypuszcza.

M. I.

## DROBNE LISTKI.

**Otello, nowa opera Verdięgo**, do której libretto napisał Boito, jest blizką ukończenia. Przyjaciele maestra, którzy słyszeli niektóre części partycy, przyznają jej wysokie zalety: „Ave Maria“ śpiewana przez Desdemonę w akcie ostatnim, ma być niepospolitej piękności. Także libretto, posiadające dla nas interes zwiększony, z powodu na pół polskiej narodowości jego twórcy, ma być bardzo szlachetne i poetyczne. Rzecz dzieje się na wyspie Cypr, więc zaraz po ślubie, Jago nie gra tu tak wielkiej roli, jak u Skakespeare'a, za to charakter Cassia i Roderiga są wybitniejsze i dodane im jest więcej humoru.

— **Międzynarodowe ilustrowane pismo**, wydawane przez niemieckie stowarzyszenie imienia Wagnera, zaczyna wychodzić w Lipsku w bieżącym miesiącu. Zapełniać je mają drobne artykuły i drzeworyty. Munkacsy, a z francuzkich malarzy Baudry, Bonnat i Fantin, przyrzekli współpracownictwo swoje, Hiszpania i Włochy także będą tu reprezentowane; z niemieckich pisarzy wymieniają Felixa Dahna, silnie realistycznego powieściopisarza historycznego, liczącego się dziś pomiędzy wyższe talenta tegoczesnych Niemiec. Anglia, jakkolwiek zaproszona, nie do-

tać nie dała. Artykuły będą drukowane w oryginalach, w języku, w którym były pisane. Dochód z pisma idzie na utrzymanie Wagnerowskiego teatru w Bayreuth.

— **Pisarze Niemieccy** przygotowują petycją do Bismarcka w celu otrzymania konwencji literackiej między Niemcami a Państwem Rosyjskiem, w której zostałyby zastrzeżone prawa autorów i wydawców niemieckich w stosunku do tłumaczy. Petycja ma już podobno wielką liczbę podpisów.

— **Zola** pisze nowy romans: „Germinal“, w którym ma być traktowaną kwestya socjalizmu. Dla czynienia studyów z natury udawał się Zola do Anzin.

— **Korrespondenci Fryderyka Wielkiego, tom jedenasty**, wyszedł w Berlinie i ma zawierać rzeczy odnośne do nas interesu. Redakcją tej ważnej publikacyi zajmuje się poważny historyk Sybel.

— **Historja ogólna wychodźców rewolucyi francuzkiej**, przez H. Forneron, wyszła świeżo w Paryżu i także mieści w sobie dotyczące nas rzeczy. Stanowisko autora jest nam przychylnie; nie jest to jednak dzieło w wyższym znaczeniu poważne: zbyt wiele w niem anegdot.

— **W Archiwum Watykańskim** wskutek ostatnich poszukiwań znaleziono 3576 manuskryptów greckich. Manuskryptów łacińskich odkryto też bardzo wiele.

— **Listy Gordona o Palestynie** wyjdą wkrótce w Londynie. Wyjeżdżając do Sudanu, zlecił on przyjacielowi wydanie książki, której tytuł jest *The reflexions of Palestine*. Już z Kartumu pisał do owego przyjaciela w przedmiocie tego wydawnictwa. Silnie, aż do mistycyzmu pobożny, doznawał on wobec widoków Palestyny nie takich wrażeń, jak pospolity, a przynajmniej inaczej usposobiony, podróżnik. Styl Gordona ma być poetyczny, gorący i malowniczy.

— **Drugi Ahasverus** wynaleziony został. W historycznej publikacyi francuzkiej: „Archives historiques de la Gascogne“ ogłoszono rękopism pewnego mnicha: brata Dominika, który pisze, że w 1550 roku widział w Jeruzalem, w krypcie znajdującej się pod dawnym domem Piłata, Malchusa, tego sługę arcykapłańskiego, któremu S-ty Piotr ucho uciął, żywego, wyglądającego na lat trzydzieści kilka. Zakopany do pól ciała w ziemi, rudowłosy, z wielką aż do pasa brodą, mówił wszystkimi językami i pytał żałośnie każdego z przysuwających się doń: — Kiedy przyjdzie Sąd Ostateczny? Odziany był zawsze w lnianą starożytnego kroju tunikę, mówił najchętniej po łacinie i nie zaczepiał nikogo, kto do niego sam nie przyszedł. Nie wyglądał na oszusta; miał twarz bladą i wzrok bardzo smutny i tak przenikający, że serce ścisnęło się, patrząc nań. Ustawicznie bił się w piersi i szeptał po łacinie: — Kiedyż się zmiłujesz Panie?.. Odkrycie prawdziwie gaskońskie.

— **Klucz do języka Azteków** został odkryty w Meksyku przez uczonego zakonnika, ojca Damato Soto i obecnie będzie można nietylko odczytać wszystkie napisy, znajdujące się na kamiennych pomnikach i ruinach miast, odkrywanych ciągle wśród lasów i pustyń meksykańskich, ale i wszystkie rękopisma, kreślone na skórkach zwierząt, które znajdują się przechowane w archiwach tamtejszych. Da to poznać historję zatraconego narodu Montezumy, ciekawe migracye, jakie przebywał, zanim osiedlił się w Meksyku.

— **Nowa religia** zainauguruje się wkrótce we Francji. Jakaś wielce bogata Angielka zamierzyła sobie rozpowszechnić we Francji religiję buddyźmu, i w tym celu zamierza zbudować w Paryżu świątynię Buddy.

— **Uczony angielski**, professor fizjologii przy uniwersytecie w Cambridge, Francis Galton, poświęca się obecnie studyowaniu dziedziczności w jej dodatnich i ujemnych objawach. W tym celu ogłosił w angielskich i francuzkich dziennikach wezwanie, aby osoby, które nie są obojętne na postępy nauki, dostarczały mu pod pieczęcią tajemnicy faktów cnót lub zbrodni, które dziedzicznie objawiały się w ich rodzinach. Zwrót wszystkich kosztów podróży, czy korespondencyi, jakoteż wynagrodzenie za stratę czasu prof. Galton przyrzeka wprost od siebie.



— **Herbert Spencer** nie przyjął ofiarowanej mu kandydatury do parlamentu, tłumacząc się stanem zdrowia. W liście pisanym do wyborców swoich, tłumaczy się jakoby zdrowie jego wymagało takich względów, że więcej niż od roku nie jadł obiadu poza domem, z przyczyny excytujacych go wrażeń, jakie to na niego wywiera. Nie może już ani pisać, ani dyktować więcej nad trzy godziny dziennie, i z uwagi na zdrowie wyrzekł się też zamierzonej podróży do Australii. Podróż do Ameryki wprowadziła go w ten stan osłabienia. Przytem, dodał on we wspomnianym liście, że dziś prawa się tworzą poza parlamentem, który je tylko rejestruje i do akt wciąga. Jego przekonanie polityczne różni się po części z wszelkimi frakcyami stronnictw, zasiadających w parlamencie.

— **Jak się książki rozchodzą w Anglii?** dowodzi fakt, że główna, a trzeba dodać ogromna wypożyczalnia książek w Londynie, zowiąca się: księgarnia *Mudie*, zakupiła 1.500 exemplarzy autobiografii, niedawno zmarłego powieściopisarza Trollope'a. Jeden exemplarz kosztuje na miejscu 26 1/2 franka. Ta *Circulating Library* zajmuje parę kamienic.

— **Balonowa fotografia** dla potrzeb wojskowych okazała świetne rezultaty przez próbę odbytą w obozie pod Chatham, przez angielskiego majora inżynierii, Eleslade. Balon uwięziony a mieszczący w sobie automatyczny przyrząd do fotografowania, został wypuszczony na znaczną wysokość i gdy jej dosięgnął, soczewka fotograficzna zaczęła w wyrachowanym czasie działać, a płyta przyjęła odbicie. Próba udała się wybornie i na fotografii małych rozmiarów, otrzymanej w ten sposób, można było sobie zrobić dość dokładne wyobrażenie o liczbie fotografowanego oddziału wojska, mieszczącego się w znacznej odległości, przez obliczenie za pomocą soczewki powiększającej punkcików białych, przedstawiających kaski piechoty.

— **Paryżki Théâtre Vandeville** przedstawia bardzo ładną, uczuciową i patriotyczną sztukę: *Piętnasty pułk huzarów*; przecież nie prędko sztuka ta dostała się na scenę z powodu, że jedna z głównych w niej postaci, podpułkownik Champoreaux, jest nieszlachetnym, nieuczciwym człowiekiem—jest zdrajcą swego kraju. Zdrajcy mogą być i bywają wszędzie, ale przedstawić tak żołnierza, gdy Francya kryje w sercu swem nadzieję odwetu za Sedan!... Chcąc zatem sztukę przedstawić, a honoru armii francuzkiej nie naruszyć, dyrektor teatru wpadł na pomysł, aby aktor grający ową nikczemną osobistość, schodził ze sceny przed każdym czynem nieszlachetnym, brał wtedy na siebie ubiór cywilny i jako taki, to jest jako człowiek zwyczajny, dopuszczał się nieuczciwości. Rzecz się rozgłosiła i skoro też podpułkownik Champoreaux ukaże się na scenie pocywilnemu, publiczność bije bravo — że zrzucił mundur francuzkiego żołnierza, gdy miał być podłym. W jakim ubiorze Bazaine podpisywał kapitulacyą Metz?

— **Legenda Alzacyi.** Jest to tytuł książki, świeżo wyszłej w Paryżu a wydanej przez Alzaticzką, Edwarda Schuré, który pisząc w przedmowie, że legenda lepiej maluje duszę narodu, niż nawet sama historia, której wreszcie legenda dłoń podaje, jak siostra siostrze—przedstawia pięć, wierszem napisanych legend alzackich, opowiadających pięciu ważnym epokom historii Alzackiej. Pierwsza: *Mur païen* (Ś-ta Odyła), to epoka, gdzie Celty i Germany wydzierają sobie wzajemnie linią Wogezów, która jest dla Celtów ich cydadellą naturalną, namiętnie, heroicznie bronioną, i na ten czas przypada koniec dynastji Merowingów i zwycięstwo Chrystyanizmu, który nie usuwa, ale nowy żywioł dodaje patriotyzmowi Celtów. Dalej idzie legenda epoki Karłowingów: *Richardis*,—dalej legenda Strasburga i jej katedry, przedstawiająca obraz rycerstwa i Wieków Średnich. Legenda z wieku

XVI-go, reprezentuje czas Reformacyi — nareszcie legenda z wieku XVIII-go—to Rewolucya i znowu walka o linię Wogezów, o Ren i ta, to niby pieśń Musseta: „Vous n'aurez jamais notre Rhin!..”

Autor kończy tym zwrotem do współbraci Alzatów: „Le seul refuge inexpugnable est dans les âmes fortes, ou vit le culte du passé, et la foi dans l'avenir“.

— **Joanna d'Arc, wybawicielka Francji**, przez J. Fabre, to niby przez intencją podobną, a przecież z gruntu od poprzedniej odmienna książka. Autor poświęcił ją „kobietom francuzkim“ a to z przyczyny, że kobiety przez żywość swej wyobraźni lubują się w pompach i uroczystościach religijnych,—więc on, jako człowiek dobrej woli, proponuje im, aby obrały sobie za patronkę, za świętą, Dziewicę Orleańską, co usunęłoby szczęśliwie cześć innych świętych dziewic: Scholastyki, Pulcheryi, i t. d. Jednak w obawie, aby na prawdę nie uwierzyły w świętość Joanny d'Arc usiłuje, oile można ścięgnąć ją nisko na ziemię i nie jest to bynajmniej ta Joanna d'Arc, ta „Pucelle d'Orléans“ z której Michelet uczynił rzeczywiście patronkę walczącej i cierpiącej Francji, patronkę kochających ją kobiet francuzkich.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Z krwawych dni.**

## Tanie zbiorowe wydanie

### POWIEŚCI

## J. I. KRASZEWSKIEGO

### Serya druga.

W roku bieżącym wyszły tomy 21 do 29 i obejmują powieści:

**Bracia rywale**, powieść,  
**Żeliga**, powieść w 2 tomach,  
**Pan na czterech chłopach**.

**Syn marnotrawny**, powieść w 2 tomach,  
**Ostatnie chwile księcia wojewody**,  
**Z życia awanturnika**, powieść w 2 tomach.

W roku bieżącym wyjdzie jeszcze 11 tomów.

**Jestto jedyne zbiorowe wydanie powieści znakomitego pisarza.**

Żadna z powieści wyszłych w wydaniu jubileuszowem i Seryi I-ej (z r. 1874) tu powtórzoną nie będzie.

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie:

Miesięcznie . . . . . ko. 50  
Kwartalnie (za 5 tomów) . . . . . Rs. 1 kop 50

Poezta:

Kwartalnie . . . . . Rs. 1 kop. 75

**Tomy 1 — 20** wydane w roku zeszłym są jeszcze do nabycia za rs. 6 w Warszawie; — rs. 7 z przesyłką.

Tom III-ci dzieła pod tytułem:

## ROZRYWKI

### DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

PRZEZ

SEW. PRUSZAKOWĄ (DUCHIŃSKĄ)

Wyjdzie z druku w dniu 15 Czerwca r. b.

Całe dzieło składać się będzie z 4 tomów

Prenumerotorowie „Bluszczu“ tom I-szy otrzymali w kwartale I-ym **bezpłatnie**;—Cena każdego z następnych tomów w Warszawie kopiejek 50, z przesyłką kopiejek 60,

Tom 4-ty (ostatni) wyjdzie w przyszłym kwartale.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Na progu raj. z Cyklu poezji „Duch i świat“, Jar. Vrchlickiego. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Romantyzm we Francji, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Kobieta w Chinach przez M. I. Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою  
Варшава, 23 Мая 1884 года.